
NASZA
GAZETKA

NASZA GAZETKA

Pismo perjodyczne młodzieży Państw. Gimnazjum Polskiego w Bielsku.

NUMER 7. | BIELSKO, Grudzień 1932 R. | ROK IV.

Wł. Baselides, kl. VIII a.

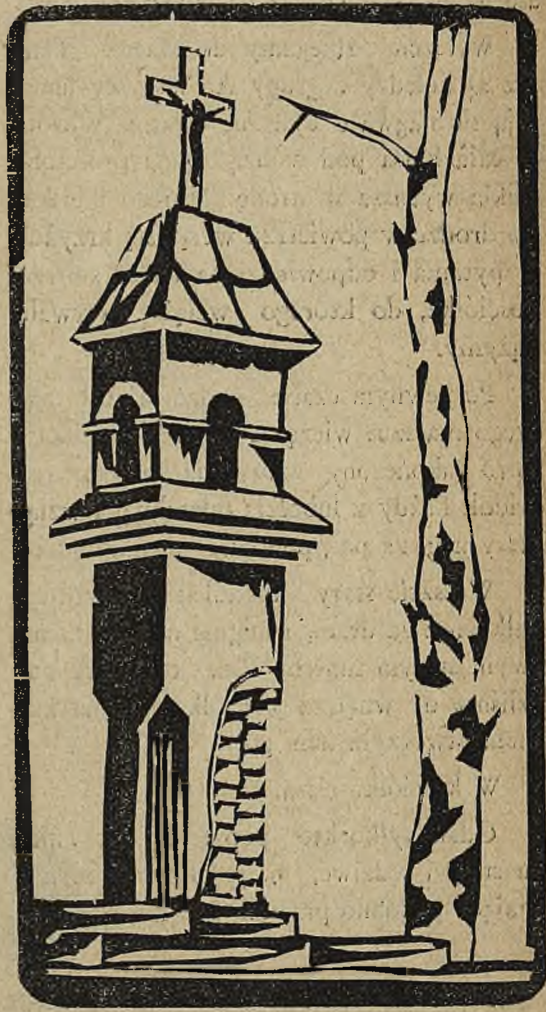
Jesień.

Ugory w mglistych spowite oparach,
Życia przyrody przestało bić tętno,
Wiatr na bezlistnych, nagich drzew konarach,
Gra pieśń jesieni żałobną i smętną...

Oracz łan czarny tnie stalowym pługiem,
Słońce ostatni blady zsyła promień,
Na polach słychać wron krakanie długie,
Ochrypłe, brzmiące jak złej zimy omen.

Lubię refleksje w jesiennych wieczorach.
I na mnie przyjdzie w życiu taka jesień,
Co mgłę i smętek mej duszy przyniesie.

I na mnie przyjdzie ta jesienna pora,
Co rezygnacją mą duszę przeora;
Zima — śmierć przyjdzie po jesiennym kresie.



Nasza wycieczka

do kościółka w Starem Bielsku

(dnia 28 października 1932).

W sali rysunkowej na 5-tej godzinie gwarno, jak w ulu. Wszak dziś na następnej godzinie idziemy na wycieczkę.

Jeden kończy na gwałt rysunek, drugi prędziutko maluje, trzeci wreszcie z pośpiechu pomalował sobie nos farbami, ale to nic, bo idziemy na wycieczkę.

Wreszcie zbiegamy do szatni. Tam już są koledzy z grupy A. Wszyscy ubierają się nagwałt, byle nie ostatni. Wkrótce cała klasa pod wodzą pana profesora Nikla wyrusza w stronę Starego Bielska. Po drodze w powietrzu wciąż się krzyżują pytania i odpowiedzi na temat starego kościółka, do którego wciąż wytrwale dążymy.

Po pewnym czasie widać już cel naszego marszu: wieżę starego kościółka i ostro zakończony szczyt dachu. Na ten widok każdy z lubością odetchnął i wziąwszy nogi za pas, pomknął jak najprędzej.

Wreszcie stary kościółek wychylił się całkiem z za drzew i mignął między niemi swym starym murem. Przez cmentarz poszliśmy do wnętrza kościółka. Pewna kobieta otworzyła nam go.

W kościółku cisza.

Gdzie tylko kto popatrzy, wszystko tu stare i sędziwe, n. p. główny ołtarz, mający podobno przeszło 800 lat, chrzcielnica, obrazy, rysunki i sam kościół, mający około 800 lat.

Piękny to okres czasu.

Ile to ludzi musiało się przez ten kościół przesunąć! Ile skarg i próśb cichych musiały słyszeć te mury! Bóg sam to wie.

Ciszę przerywają tylko szepty chłopców i uwagi kobiety, która nas oprowadzała, a które tłumaczył nam pan profesor Nikiel, bo mówiła częściowo po niemiecku.

Gdyśmy wszystko ujrzeli i nadziwili się, wyszliśmy na cmentarz. Znów ta sama kobieta oprowadzała nas po grobach. Ujrzeliśmy wyciągnięte pod rząd jednakowe groby żołnierzy armji austrjackiej różnych narodowości, a więc Węgrów, Czechów, Rusinów i t. d. Nie brakło między niemi i cichej mogiły polskiego legjonisty, co spełnił swój obowiązek i umarł z ran otrzymanych w walce o Wolność Ojczyzny.

Wreszcie opuściliśmy cmentarz. Jeszcze nie jeden się oglądnął, by spojrzeć na te wiekowe mury.

Wrażenie, jakie pozostało po tej wycieczce, nie jeden umieścił na dnie serca i postanowił sobie, że zabytki takie będzie zwiedzał i w miarę możności chronił.

Eugenjusz Rogalski, kl. III c.

Loranc Józef, kl. VII a.

Dlaczego należy kupować wyroby krajowe?

W imię patrjotyzmu, w imię oszczędności państwowej winniśmy z chorobliwym u nas i niebezpiecznym dla naszego gospodarstwa państwowego nawykiem kupowania towarów obcych staczać bezwzględną walkę.

Jeżeli popierać będziemy rodzimy przemysł, własne fabryki, kupować tylko towary polskiego wyrobu, wówczas pieniądz nasz nie będzie wychodził z Polski, a nasz robotnik nie będzie zmuszony szukać pracy zagranicą, za morzem, lecz znajdzie zatrudnienie i chleb na własnej ziemi.

Zupełnie nieświadomie szkodzimy często dobru ogółu, kupując zagraniczne towary. Czytamy nieraz w gazetach o tem, że Polacy sprowadzają z zagranicy dużo rzeczy, nawet takich, bez których mogliby się obejść, albo które sami moglibyu siebie w kraju wyrabiać. Dziesiątki miljonów złotych uciekają zagranicę w zamian za jedwabie, futra, owoce południowe, słodycze i t. d.

Ta ucieczka naszego pieniądza z kraju jest jedną z przyczyn naszego ciężkiego położenia gospodarczego. Dlatego powinniśmy kupować zawsze tylko krajowe wyroby i brać przykład z innych krajów, które popierają wytwórczość krajową. W Anglji naprzykład nikt nie kupi towaru, na którym niema napisu „wyrób angielski".

Szwecję uratowały z kłopotów gospodarczych kobiety przez wytrwały i przez szereg lat trwający bojkot towarów obcych. Znana jest też akcja kobiet węgierskich, które przez długi czas chodziły w samodziałach krajowych i żywiły siebie i swoje rodziny tylko tem, co zostało na Węgrzech wyprodukowane. Niechaj to będzie nauką dla naszych elegantek, które kupują zagraniczne materjały, chociaż w kraju mamy tak wysoko rozwinięty przemysł włókienniczy. Mamy już wielki wybór płócien, perkali, batystów własnych, mamy wielką rozmaitość tkanin na suknie i płaszcze, pochodzące z bielskich i łódzkich fabryk, począwszy od skromnej „kashy" do wełny przerabianej złotem, do lekkich, tak miłych w noszeniu kreponów i woalów. Niestety dotychczas w naszych stosunkach najzupełniejszą rację ma przysłowie: „Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie."

Deimel Witold, kl. VIII a.

„A u nas w obozie...“

Bielsko, w listopadzie 1932.

Każdy harcerz przez cały rok szkolny z utęsknieniem oczekuje jego końca, aby mógł wziąć udział w obozie letnim, który jest finishem pracy w drużynie. Tak było i tym razem. To też nic dziwnego, że 15 lipca zebrała się na dworcu kolejowym spora grupka żądnych wrażeń harcerzy. Były to przeważnie „biszkopty“, biorące po raz pierwszy udział w podobnej wyprawie. Nikogo więc nie dziwiły ani pierzyny w plecakach, ani długo na pożegnanie powiewające chusteczki rodziców, ciotek i innych bliskich istot. Ponieważ wiara harcerska z różnych bardzo drużyn się pozbierała, więc na początku podróży dosyć nieufnie jeden na drugiego spoglądał. Dopiero w Suchej przy kąpieli trochę się zaprzyjaźnili. Potem już było lepiej. Na miejsce przyjechaliśmy pod wieczór. Miejscem tem było miasto Piwniczna, położona pięknie nad Popradem, niedaleko Nowego Sącza i Krynicy, a blisko Pienin. Otóż natychmiast po przybyciu młodszym, wbrew ich woli, kazano iść spać, a starsi poszli harować, t. zn. przymocowywać namioty do warstwy piasku i kamieni. Starania ich zbyt owocne nie były, gdyż rano zabraliśmy się do pracy na nowo. Cały obóz składał się z 5 namiotów mieszkalnych, hangaru i zakazanego dla pospólstwa obozowego namiotu gospodarczego. Po kilku dniach pobytu na obozie zawitał do nas druh, opiekun drużyny gimnazjalnej, p. prof. Mykita i opiekował się nami prawie do samego końca obozu. Mimo, że jest opiekunem drużyny (I. gim.), opiekował się tak starannie wszystkimi członkami obozu i tyle skorzystali wszyscy przez Jego nadzwyczaj barwne i interesujące wykłady, że jesteśmy mu wszyscy za to na zawsze bardzo a bardzo wdzięczni. Tryb życia przedstawiał się następująco: koło godz. 7 ktoś uczył się grać na trąbce, a reszta musiała stawać. Po modlitwie i wyciągnięciu sztandaru na maszt wszyscy schodzili po schodach, zrobionych przez siebie do Popradu, gdzie każdy szorował swoje brudne ciało. Przed myciem była zwykle gimnastyka, która kilkakroć krwawo się zakończyła. Potem było śniadanie, poprzedzone licznemi gwizdami. Następowały różne wykłady aż do obiadu. Potem cisza bezwzględna, kiedy nie było wolno nawet pary z gęby puścić, dalej cisza względna i trening siatkówki lub wyczyny lekkoatletyczne. W różnych porach dnia odbywała się kąpiel, podczas której niejednokrotnie próbowano utopić liczne szarże obozowe. Nieraz były kąpiele połączone z ćwiczeniem cierpliwości, t. zn. rybołapanie. Plotka obozowa głosi, że niejeden już z Bielska przywiózł ryby, nosił je w kieszeni, by ukradkiem przyczepiwszy do haka, triumfalnie ponad powierzchnię wody wyciągnąć i zyskać sobie chwilowy poklask. Po podwieczorku były dalej gry, a niektórzy bohaterzy żołądkowi szli na lody do miasta. Następnie kolacja, poczem najmilsza dla każdego część dnia, ognisko ze śpiewami, czasem z gazetką obozową z willi głodomorów, a przedewszystkiem

z nadzwyczaj nastrojowemi i pouczającemi gawędami na różne ciekawe tematy. Potem modlitwa, sztandarowi cześć i spać. Czasem był alarm z ćwiczeniami, przy których najwięksi przyjaciele, jeśli byli w przeciwnych obozach, stawali się nieprzejednanymi wrogami. — Podobnie bywało i w niedzielę, z tą odmianą,że maszerowaliśmy do kościoła, gdzie śpiewaliśmy podobno ładnie. Po kościele każdy mógł przez godzinę zwiedzać zabytki miasteczka, w szczególności w dzielnicy nad Popradem. Do wzajemnego zżycia się i urozmaicenia wrażeń z obozu przyczyniły się wycieczki, jak do Głębokiego na wodę mineralną, do nowosądeckiej stanicy harcerskiej w dolinie Czerczu i 3-dniowa wycieczka pod obozami w Pieniny, połączona z uroczą 2-godzinną jazdą łodziami po Dunajcu. W jedną z niedziel wizytowała obóz przewodnicząca zarządu oddziału śl. W. Jordan-Łowińska, innym razem prezes Koła Przyjaciół Harcerzy inż. Markiewicz i inni. Wszyscy dokładali starań, by goście jak najlepsze odnieśli wrażenia. Że tak było, świadczy choćby wielka ilość osób kilkakroć z zainteresowaniem i sympatją zaglądających do obozu oraz popularność ognisk wieczornych. Dołożyliśmy wszelkich starań, by pozostawić po sobie jak najlepsze wrażenie. Mile wspominamy chwile spędzone na obozie w ogólnem braterstwie, harcerskiej wesołości i pogodzie.

R. Gorączko, kl. VII b.

Fragment jesieni.

Szarzało...

Forpoczty zbliżającego się dnia, niby tchnienie, spływały lekko na twarz matki-ziemi i ożywiały szare, męką życia wyżłobione brózdy. Wciskały się w ciemne załamania, pełzały po pożółkłych trawach i scałowując z nich perliste łzy rosy, wypierały z każdego zakątka drgające trwożliwie języczki uciekającej nocy, otulając świat pajęczą tkaniną srebrzystego światła.

Śpiące lipy, wierzby, brzozy, topole, dęby, gdzieniegdzie sosny i jodły, podnosiły zwolna zaspane głowy, przeciągały się i nadstawiały swe twarze leciuchnemu podmuchowi wietrzyka, pozwalając mu muskać i igrać z sobą figlarnie...

Pucułowata lipa, rumiana i gadatliwa, niby przysadkowata przekupka, otrząsnęła się z liści, zeschłych w skwarze dnia wczorajszego i ściętych mrozem nocy. Potem trzepocąc się jak kwoka, ofuknęła drzemiące w zakamarkach jej obszernego gorsu śpioszki wróble, które odpowiedziały jej żywo swym wesołym świergotliwym chórem. Wysmukła sąsiadka topola, gibka w biodrach niby wiejska dziewucha, stojąc mocno na szeroko rozstawionych nogach, rozkołysała się i podawała swe piersi naprzód, wdzięcząc się do swego kochanka dębu, który prężył muskuły, napinał rozłożyste bary i jakby chełpiąc się swoją siłą, stał ciągle w swej

mocarnej pozycji, w każdej chwili gotów stawić czoła najtęższej burzy, a rosnąca opodal stara, garbata, zgrzybiała sosna, jak staruszka babcia, przypatrywała się z za okularów z wyrozumiałym, zmęczonym latami uśmiechem umizgom młodych. Sentymentalna brzózka, jak płaczka słowiańska, opłakiwała z rozpuszczonemi włosami niewiedzieć co, czy bożka lata, czy odlot ptaków, czy może, stale chlipać przywykła, z przyzwyczajenia płakała. Dość, że z żalu zrzuciwszy wszystkie liście, rozrywała z jękiem swe białe dziewicze szaty, a nie chcąc stawiać oporu, zobojętniała na wszystko, przed każdym skłaniała pokornie aż do ziemi głowę. Zaś przeglądająca się w strumyku stareńka, pochyła wiekiem wierzba, niby chroma ślepa żebraczka, uginająca się pod brzemieniem, umieszczonych na plecach, tobołków i torb, skarżyła się jękliwie i głucho swem rozdartem wnętrzem na upośledzony los. Cały świat, niby piękna kobieta, zrzucał z twarzy welon nocnej mgły i pokazywał uśmiechnięte, opromienione złotemi blaskami wschodzącego słońca oblicze jesieni, zrzucającej z oczu przebłyski lata i chowającej w sobie, mającą za chwilę wybuchnąć, tajemną siłę życia...

Nasz Szlagier.

Na nutę: „Raduje się serce, raduje się dusza...“ Słowa i muzyka Włas(n)a.

A w naszem gimnazjum rzecz się dziwna stała,
Bo „Nasza Gazetka“ znowu zmartwychwstała.
Raduje się serce, raduje się dusza,
Kiedy ksiądz profesor do drukarni rusza.
Niedaleko Bielska, kędy Olza płynie,
Jest tam Cieszyn miasto, z pięknych panien słynie.

W tem to także mieście, nie w żadnym Krakowie,
Jest polska drukarnia, „Dziedzictwo“ się zowie.
Miejsce u nas znane i przez nas cenione
Bo „Nasze Gazetki“ tam są urodzone.
Raduje się serce... (jak wyżej).

Ale znowu nowa kwestja się wyłania
I to bardzo ważna: ceny sprzedawania.
Bo teraz ma każdy w kieszeni suchoty,
Złotniaka za numer nie ma dać ochoty.
Sprytna więc redakcja kwestję rozwiązała
Dwadzieścia pięć groszy tylko zażądała.
Cóż my zasię możem, nie tylko kupować
I tych paru groszy długo nie żałować,
Płodźmy szybko wiersze, piszmy artykuły,
Nie słuchajmy bredni tego safanduły,
Co to niby szumnie „Redaktor“ się zowie,
Ma teczkę pod pachą, no i pusto w głowie.

Raduje się serce... i t. d.

Dodatek.

Otóż kochani moi Czytelnicy, ostatnie zwrotki gwałtem domagają się jakiegoś wyjaśnienia, bo to, widzicie, obrażają jego redaktorską mość we własnej osobie i szlagier jeszcze się w druku nie ukazał, a już gromy posypały się na moją biedną głowę. Pośpieszam więc ze sprostowa-

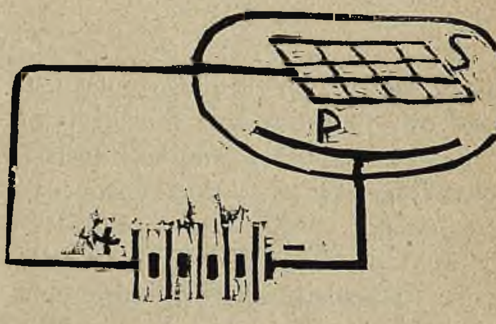
niem, że słowa „safanduła“ użyłem w dobrej wierze, a mianowicie wyraz ten oznacza właściwie po turecku „Wielki Człowiek“. Jak więc z tego widzicie, chciałem oddać sum cuique, to znaczy należną cześć jego redaktorskiej mości za jego rzeczywiście niespożyte zasługi, jakie złożył na polu egzekwowania artykułów (od producentów), a następnie wydostania ich od ich lekarza (leczy błędy ortograficzne, stylistyczne, gramatyczne i inne zapomocą wiwisekcji dokonanej ostrem narzędziem krytycyzmu). Kto jest tym lekarzem, to chyba wiecie (na p się zaczyna, a na r się kończy). Pomyślcie więc sobie, co to za bohaterstwo ze strony p. Redaktora, że odważył się tak wysoko postawionej osobie (stoi zwykle na katedrze) zagrozić komornikiem w razie nieściągalności artykułów. (W tem miejscu mam chęć zawołać coś à la Słowacki: O, Rozpaczy! Bo jeśli mi tego ów „Bóg“ nie przebaczy, to... to... oberwę dwóję z matematyki.) Ale wracam do poruszonego tematu. Otóż chciałem, jakem to nadmienił, wyrazić hołd Wielkości p. Redaktora, a wiedząc, że prawdziwa Wielkość zawsze w parze ze skromnością chodzi, użyłem tego skromnego „tureckiego“ wyrazu, w przekonaniu, że nietylko oddam, co komu należy, ale także przyczynię się do akcji wszczętej przez H. Sienkiewcza (patrz Pisma H. Sienkiewicza tom 60 str. 157-8), mianowicie utarcia tego terminu i wzbogacenia przez to naszego języka.

Bronisław Średniawa, kl. VI a.

Krótki rys telewizji.

Człowiek nie zadawala się nigdy tem, co już posiada. Od wynalazku lokomotywy upłynęło niewiele ponad sto lat, a już od tego czasu opanował człowiek powietrze. Od czasów pierwszych odkryć elektrycznych minęło półtora wieku, a już teraz słyszymy muzykę i mowę przez radjo z odległości kilku setek, a nawet kilku tysięcy kilometrów. Teraz oto zapragnął człowiek widzieć przez daleką przestrzeń i robi próby nad telewizją coraz bardziej udatne, tak, że w niedalekiej przyszłości człowiek będzie widział przez radjo operę lub prelegenta wygłaszającego odczyt. Telewizja jest to widzenie na odległość.

Podstawą telewizji jest t. zw. komórka fotoelektryczna (rys. 1). Jest to próż-

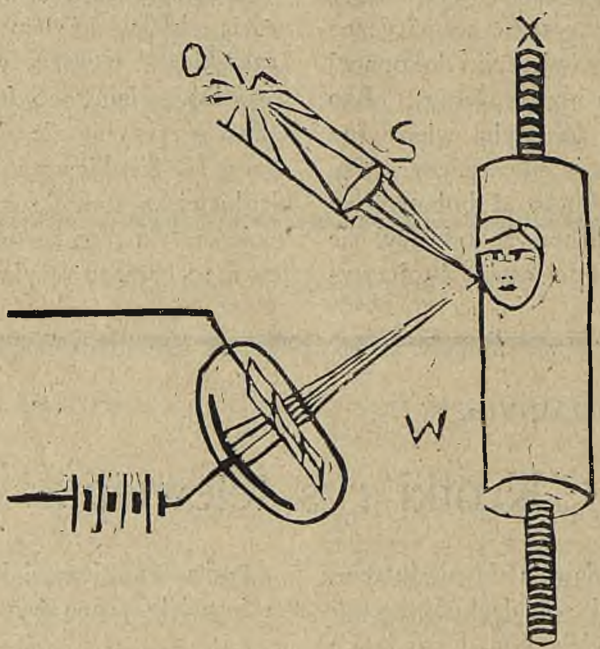


B Rys. 1.

na bańka szklana, na której dnie leży warstewka metalu, zwanego potasem P,

połączona z ujemnym biegunem baterji B. Z jej dodatnim biegunem połączona jest siatka S. Gdy komórka owa pozostaje w ciemności, nie pojawia się wcale prąd elektryczny, bowiem próżnia stanowi nieprzezwyciężoną przeszkodę dla elektronów, które nie mogą jej przebyć. Gdy jednak potas zostanie oświetlony, zaraz wyrzuca z siebie elektrony, pojawia się prąd elektryczny, jak długo potas jest oświetlony. Prąd jest tem silniejszy, im silniejsze jest światło. Komórka fotoelektryczna reaguje na wszystkie zmiany natężenia światła, choćby ich było setki tysięcy w każdej sekundzie. Te same właściwości posiadają także niektóre inne metale, jednak nie w takim stopniu. Widzimy przedmioty dlatego, ponieważ przesyłają one do oczu naszych promienie świetlne własne lub odbite. Jedne przedmioty wysyłają mniej, drugie więcej światła i dlatego widzimy je ciemniejszemi lub jaśniejszemi.

Zasady przesyłania obrazów na odległość są dość proste. Kartkę papieru z pismem lub obrazkiem nawija się na wałek W (rys. 2) zsuwający się na osi AB ruchem śrubowym. Następnie rzucamy na kartkę stożek świetlny z silnej lampy O, utworzony przez soczewkę S. Wskutek zsuwania się wałka ruchem obrotowym światło stożka będzie oświetlało coraz to inne jaśniejsze lub ciemniejsze punkty obrazu i po odbiciu będzie wpadało przez siatkę na warstewkę potasu. Każdej zmianie natężenia światła będzie towarzyszyła zmiana natężenia prądu elektrycznego w komórce fotoelektrycznej, który wzmocniony nakrywa się z drganiami antenowemi i leci

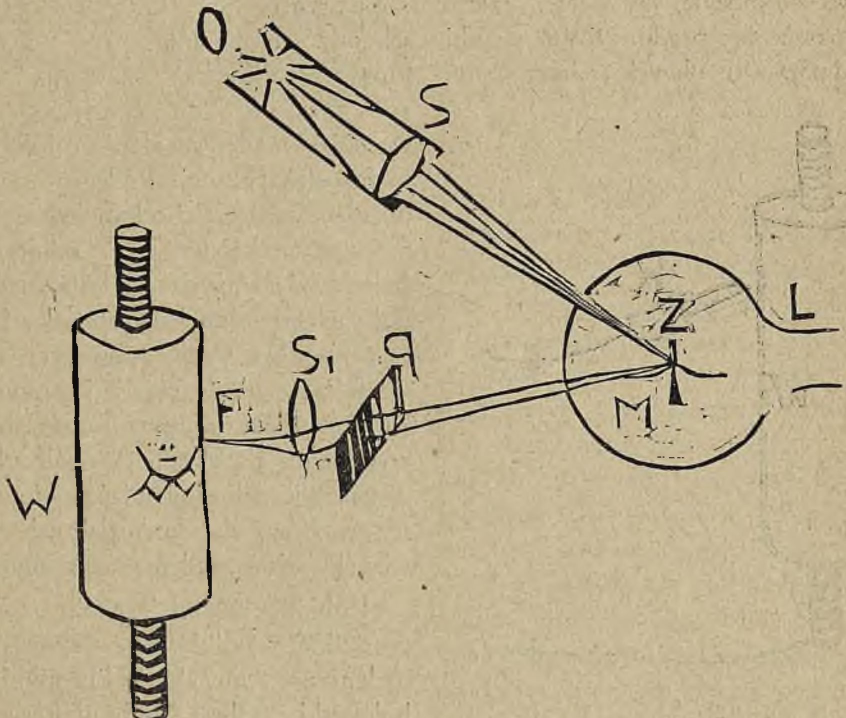


Rys. 2.

w przestrzeń w postaci odpowiednio zmodulowanej fali elektromagnetycznej.

Na stacji odbiorczej odbywa się proces odwrotny (rys. 3). Tutaj antena chwyta fale, które następnie zostają zamienione w punkty świetlne i rozmieszczone na błonie filmowej, jak w oryginale. Odpowiednio wzmocnione prądy

Wałek, na który nawijamy błonę filmową, porusza się tak samo, jak wałek w stacji nadawczej, nad czem czuwa specjalne urządzenie. Zależnie więc od chwilowego kierunku i natężenia prądu magnes odchyla się słabiej lub silniej w lewo lub prawo, odrzucając światło na silniej lub słabiej zaczernione miejsce

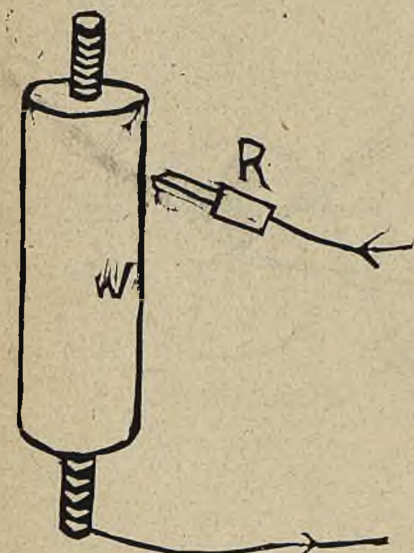


Rys. 3.

elektryczne dostają się do cewki. Wewnątrz niej znajduje się lekki ruchomy magnes M i przymocowane do niego lusterko Z, służące do odbijania promieni ukośnych padających z lampy O. Światło odbite przechodzi przez płytkę P i skupia się zapomocą soczewki w jednem miejscu C wałka. Płytka P jest tak zaczerniona, że przeźroczystość jej słabnie stopniowo z jednego końca na drugi.

płytki P, skutkiem czego jeden punkt błony filmowej jest silniej, inny słabiej naświetlony. Po naświetleniu przechodzi błona filmowa przez zwykłe procesy fotograficzne. Najlepszą jednak metodą jest system Karolusa. Zamiast lusterek stosuje się wiązki promieni, tak że prócz wałka nic się tu nie porusza. Zapomocą tej metody można zmienić natężenie światła ponad ...

miljonów razy na sekundę. Przesyłanie obrazka 12 x 9 cm tym sposobem trwa około jednej minuty. Inny znów system t. zw. syst. Fultona pozwala na odbiór gotowych obrazów na papierze, odpadają tu więc długie czynności z błoną fotograficzną. Na wałek (rys. 4) nawija się papier zamoczony w specjalnie spreparowanej cieczy, która pod wpływem elektryczności barwi się mocniej lub słabiej, zależnie od natężenia prądu. Rolę wiązki światła odgrywa tu ołówek elektryczny.



Rys. 4.

Jest to zwyczajny rysik metalowy, przez który przepływa prąd elektryczny. Przesyłanie obrazka 9 x 12 cm trwa pierwszym i trzecim systemem około trzech minut.

Z właściwą telewizją sprawa przedstawia się gorzej, lecz i tu pokonał genjusz człowieka główne trudności. Cała telewizja polega na tem, aby rozłożyć obraz na oddzielne punkty. Jak wiadomo, wrażenie jasności światła pozostaje w oku około 1/10 sekundy po jego zagaśnięciu. Aby widzieć obraz ciągły, trzebaby, aby bodźce świetlne powtarzały się przynajmniej co 1/10 sekundy, w przeciwnym razie oko widziałoby nie obraz ciągły, lecz migocące punkty świetlne. Zakładając, że punkt świetlny pokrywa 1 mm^2 (choć obraz byłby jeszcze niewyraźny), należy celem wyświetlenia obrazu o polu 1 dm^2 rzucić na ekran w czasie 1/10 sekundy minimalnie 10 tysięcy punktów świetlnych, czyli na sekundę 100 tysięcy, Jest to jednak możliwe dzięki nadzwyczajnej czułości komórki fotoelektrycznej. Prelegent staje przed układem soczewek, odpowiednie urządzenie chwyta każdy jego odbity punkt świetlny i zamienia na odpowiednie impulsy elektryczne i wysyła jako falę elektryczną. Na stacji odbiorczej zamienia się falę na obraz ciągły i zapomocą takich urządzeń, jak przy przesyłaniu obrazów, rzuca na ekran. Wogóle ulepszenia w zakresie telewizji zdążają do zastąpienia ruchów ciał materjalnych ruchami wiązek światła, pól magnetycznych i t. p.

Robiono już udałe próby i osiągnięto pomyślne wyniki. Pierwszym obrazem, nadanym z Ameryki do Europy, był mecz bokserski. Obraz był niestety bardzo niewyraźny.

Już wnet będziemy mogli widzieć na odległość i wtedy skurczą się dla nas niesłychanie rozmiary naszego globu, będziemy mogli nietylko słyszeć, ale i widzieć przez radjo z najdalszych zakątków ziemi.

U w a g a: Przy opracowywaniu tego zarysu telewizji korzystałem z książki Malca p. t.: „Harce elektronów". Bibljoteka Iskier.

Hajzer Józef, kl. VII a.

Pasterze.

„Zeflik! Krowy wyganiać!“ — wołała Duderka swojego synka, który siedział w ogrodzie u sąsiada i robił coś z jego synem. Zeflik przyszedłszy do domu, otrzymał zwykłą porcję: „Tóż se myślisz, że cie dycki bydym wołać na wyganiani, ty najduchu jedyn; jeszcze roz nie przidziesz przed wyganianim do chałupy, to zóńdym po ciebie z porwozem, ty kanalijo sapraporcko i wyżynym cie z krowami bez swaczyny.“

Zeflik poswaczył i popędził swoje krówki na pole. Domówili się z Kocurowym, że popędzą krowy ku Foksowymu lasku i tam zrobią sobie ogień i upieką ziemniaków. Duderka jednakowoż zauważyła, że Zeflik zaraz od domu omawia z Kocurowym jakąś sprawę, więc zawołała na synka: „Zeflik, aż mi tam dobrze pasiesz, bo sie pujdym na pole podziwać; a jak cie zastanym na bandzie, to wiysz, że ci nie podarujym“. Zeflik już był kawał od domu, a jeszcze słyszał głos swej matki: „Zeflik, aż przriżyniesz krowy napasióne“.

Kocurów począł się obawiać, że Zeflikowa matka przyjdzie na pole i nie chciał gnać ku Foksowymu lasku. Zeflik jednak wyperswadował mu to słowami: „To tak dycki mamulka mi rządzóm, że przidóm na pole, a jeszcze nigdy nie przriszli.“ Pognali więc swoje krowy ku Foksowymu lasku i puścili je na Krosnowe pastwisko. Zaraz poszli do lasku na patyki. Wracając z pełnemi naręczami chróstu, spotkali Krosnego, któremu nie bardzo do gustu przypadło, że na jego pastwisku są obce krowy, więc rzekł do nich: „Cóż tak pasiecie na mojim przyłogu krowy, czy jo se tego nie poradzym wypaść?“

Dudrów zaraz roześmiał się i rzekł mu:

Po Michale
Może sie gazdowi paś i na powale.

A Kocurów dorzucił:

A po Jadwiszce
Może sie gazdowi paś i na misce.

Krosny, widząc, że ma do czynienia z wioskowemi mądralami, roześmiał się i odszedł. W międzyczasie przypędzili ku nim krowy: Wesołów i Czuchowsków. Ci zaraz ich powitali: „Cześć kamraci! A pójcie pryndzy, bo musicie przriniyś skąd zieliny i ziymioków“. Dudrów zaraz wydał potrzebne rozkazy: „Ty, Januś — rzekł do Czuchowskowego — pujdziesz kaj na zieline, nejlepszy zóńdź na Szworcowóm, a ty Franiu — rzekł do Kocurowego — łobstarej sie o ziymioki, możesz zóńść hanej na Zmarzłowe.“ Podwładni zaraz ruszyli wykonać polecenia, a on tymczasem poszedł z Wesołowym po chróst do lasku. Kiedy wszyscy wrócili, Dudrów rozpalił tęgi ogień i za chwilę narzucali do niego ziemniaków. Po tej czynności posiadali wszyscy koło ognia. Dudrów wyciągnął z kieszeni jakieś zamorusane pudełko i rzekł do kolegów: „Przedtym, niż se zakurzym, opowiym wóm, jakech przriszeł ku tej skrzince. Tata se jóm przriwiyźli z wojny i długi czasy jóm mieli, aż roz zawiesili se kabot na płocie, kabot spod na ziymie i skrzinka wypadła z kapsy.

Joch se pomyśloł: „Na dyć una sie mi może przidać“. Wzión żech jóm i schowoł se na góre. Jak tata przizli po kabot, to już skrzinki nie było. Zaroz sie mie pytali, czych ji nie wzión, ale jo prawił, że ni. Uni mi nie uwierzili i obrabowali mie po kapsach, ale skrzinki nie znalyźli. Od tego czasu skrzinka jest moja. Po pańsku, to sie tako skrzinka nazywo tabakierka i jak kierymu powiym, coby mi przinióś tabakierke z kabota, to musi wiedzieć, co to je.“ — Gdy kończył opowiadanie i chciał sobie zapalić, zbliżyli się ku nim: Duderka, Szworc i stary Zmarzły. Chłopcy porozbiegali się, wskazując jeden drugiemu, jako punkt zborny, lasek. A Zmarzły tymczasem, zaprowadziwszy towarzyszących mu ku swoim ziemniakom, rzekł do nich, wskazując na poniszczone rządki zagonów: „Tóż sie podziwejcie, jak to wyglóndo. Tak choćby to świnia zryła, abo jaki inksze chowado stramazgało. Jak jo uwidzioł, że twój synek — rzekł do Duderki — żynie z Kocurowym ku losku, to jo już wiedzioł, że moji ziymioki bydóm w robocie. Zaroz żech to prawił Szworcowi, jak szeł z pola i un se też spumnioł, że tu jeszcze mo zieline, a chłapcy ji też isto nie podarujóm. Uznali my se, że sie tu pujdymy podziwać, nó i po drodze my cie dogónili. Teraz widzisz, że my tu po darmo nie szli. Szkode nóm musisz wynagrodzić, bo jak ni, to skludzymy szacowników i bydzie cie to wiyncy kosztować.“ — Duderka przyrzekła, że im szkodę wynagrodzi, myśląc, że to odbije na Zefliku. Ten jednakowoż już spokojnie omawiał całą sprawę z kolegami w lasku. Kocurów, jako najbojaźliwszy, zaraz odezwał się do Zeflika: „Widzisz, jo to prawił, że tu mamulka przidóm, a tyś prawił, że ni. Co nóm teraz zrobióm?“ Dudrów odparł: „Tóż pocoś tu gnoł, ty mamlasie, kie teraz mosz strach?...“

A za laskiem Duderka biadała: „Przegrzeszóne chóncfóty, ty chłapczyska, to jyny sóm na użyre, szak dziołchy by taki gupoty nie robiły. Ną, ną, dyć jo już tam mojimu w chałpie pokożym, że sie mu odechce roz na dycki takich szportów“ — mówiąc to, groziła ręką w stronę lasku.

Euzebjusz Łegowik, kl. VII a.

Wichry jesienne.

Jesień!...

Wstała szara, zaspana, w płaszcze mgieł otulona jesień. Smutną jest pora jesieni, ale przecież nie pozbawioną piękna i majestatu. Piękno jesieni uwydatnia wicher jesienny, który jakoś inaczej wieje, aniżeli podczas innych pór.

Kto wichrów jesiennych chce wyczuć pienie
i czar melodji wysnuć z mgieł,
ten serca swego niech wstrzyma drżenie,
gwar ludzkich uciech niech zstąpi w cień!

Cisza!

Na niebie zwały czarnych, kłębia-

stych chmur przewalają się leniwie, na ziemi szumią żałośnie pożółkłe listki drzew. Zdaleka dochodzą coraz głośniejsze szmery wiatru.

Nagle szum, świst, gwar i wycie, jakby dzika horda tatarska pędziła z okrzykiem wojennym. Wypadł tak wicher i pędzi, uderza i łamie wszystko oporne, chce zgnieść, zniszczyć i wyrównać... i przepadł nagle.

Po chwili zaczyna kwilić tak żałośnie a cicho, jak małe dziecię w kolebce, gdy mu ból dolega. Czasami znów żali się jękliwemi głosami nad niedolą ludzką, a tak rzewliwie, że chwyta za serce człowieka i niesie mu ulgę w ubolewaniu.

Naraz zerwie się z szumem i pędzi; zda się, że słychać gwary, śpiewy i śmiechy, jakgdyby pędziły polskie pułki szwoleżerów z furkotem chorągiewek i śpiewem na ustach w otwarty bój. Słychać później coś, jakby trzaski jakieś czy strzały, idące gdzieś z pola walki, hen daleko się toczącej... a później jęczy i zda się, że niesie rzężenie umierających.

To znowu śmieje się z nagiej naszej, szarej ziemi, szydersko plwa na czarne konary drzew warstwami pyłu i wpół zgniłemi, pożółkłemi liśćmi. Hula chmurami kurzu po drodze, rzuca nim w oczy ludzi i ucieka ze śmiechem i szyderstwem, chowając się do wikliny, by ją giąć i łamać, by na niej wywrzeć swą zemstę. Ale szał i zemsta jego słabną i znowu jakby sam płakał nad sobą i nad tem, co uczynił. I wieje tak powoli, żałośnie, jakby śpiewał ciche dumki wołyńskie, jakby opowiadał historję samotnych i zapomnianych kurhanów, rozrzuconych na oceanie stepów wołyńskich. Robi się ciemno i straszno. Na niebie powstają gigantyczne zamki, strome skały, dzikie urwiska poto, aby za chwilę zamienione zostały w gruzy, a na ich miejscu powstały nowe ogromy.

I znowu zawieje smutniej z północy, jakby opłakiwał bohaterską śmierć męczonych Unitów, i żali się długo, przeciągle nad tym biednym ludem.

Zerwie się znowu dziki, szalony, pędzi przez wioski i pola, grabi po drodze stogi z siana i słomę z wiejskich strzech i pluje tem w oczy lasu, aby go móc łatwiej zdobyć. Leci na moczary, oczerety i bagniska, by szatańskiem wyciem śpiewać z upiorami leśnemi. — Wilki wyją ponuro, a wicher śmieje się z nich głupio, albo wtóruje im długo i przeraźliwie.

Zaświszcze... i ginie..., by unieść się znowu jękiem konającego... i znowu przepadnie.

Robi się cicho i majestatycznie!

Wieczór!

Ogień bucha wesoło na kominku. Siwy jak gołąb, siedzi poważny starzec, otoczony gromadką dzieci. Pyka fajkę i opowiada czarowne bajki. Wicher wyje za oknem i dzwoni monotonnie kroplami deszczu w szyby. Dzieci słuchają ciekawie zdjęte strachem, a wicher bije w szyby jakby chciał wtargnąć do izby, obalić starca i zaprzeczyć wszystkiemu. Wpada przez komin, pryska potokiem iskier i śmieje się z zalęknionych dzieci.

Nocą odzywa się mową dusz pokutujących i upiorów, niesie ich jęki i płacze, ich skomlenia o przebaczenie i ponure głosy wołające pomocy. Miesza je razem i kłębi, tworząc jakieś piekielne litanje i modlitwy.

Strach ogarnia wszystkich!

Birtus Bronisław, kl. VIII b.

Fryderyk Franciszek Chopin.

Z okazji t. zw. „Dni Chopinowskich“ umieszczam ten artykuł, poświęcony życiu i twórczości wielkiego muzyka. Fryderyk Franciszek Chopin urodził się 22 lutego 1810 r. w Żelaznej Woli pod Warszawą, jako syn Mikołaja Chopina, emigranta z Francji i Justyny Krzyżanowskiej.

Ze stanu dyletantyzmu dźwignął naszą muzykę Józef Elsner (Ślązak), dyrektor warszawskiego konserwatorjum. Z jego to szkoły wyszło wielu wybitnych kompozytorów, których znaczenie maleje jednak wobec tak potężnego zjawiska, jakiem był Fryd. Franc. Chopin. I on był uczniem Elsnera. Zasługą Elsnera jest to, że odrazu uznał genjusz chopinowski i zostawił mu zupełną swobodę rozwoju, wskazując tylko za wzór arcydzieła J. S. Bacha. Znaczenie Chopina w dziejach naszej muzyki rozważać należy z dwojakiego stanowiska: jako wieszcza narodu, narówni z trzema wieszczami naszej poezji i jako artystę. Muzyka Chopina zamknęła w sobie ból całego narodu, była manifestacją żywotnej, twórczej siły narodu, była pieśnią buntu, pokrzepienia serc i pieśnią nadziei. Jako artysta stworzył Chopin nowe formy i nowe środki wyrazu, wzbogacił technikę kompozytorską i technikę pianistyczną. Chopin jest mistrzem minjatury fortepianowej, znamionuje ją najsubtelniejszy liryzm, czar i poezja romantyzmu: Nokturny, Preludja, Impromptu. Dramatyczny patos mają Ballady i Scherca, zaś arystokratyczną wytworność — walce. — Apoteozą bohaterskiej przeszłości narodu są polonezy, a echem wsi polskiej i najwspanialszą stylizacją pieśni ludowej są mazurki. Podwaliną nowej techniki pianistycznej są Etudy, które łączą zagadnienie techniczne z poezją wyrazu. Formę klasyczną mają sonaty, z których sonata B-moll z marszem pogrzebowym stała się narodowym rapsodem. Jako odkrywca nowych skojarzeń harmonicznych, zwłaszcza chromatyki, wywarł Chopin przełomowy wpływ na następców, jak n. p. na Wagnera. — Tyle o twórczości.

A teraz coś o życiu prywatnem Chopina.

W r. 1829 koncertował on w Wiedniu, Monachjum, poczem w r. 1830 udał się do Paryża. W drodze zatrzymał się w Stuttgarcie, gdzie otrzymał wiadomość o upadku powstania listopadowego; pod wrażeniem tej wiadomości powstała „Etuda rewolucyjna C-moll“. W 1831 r. osiedlił się na stałe w Paryżu i został tu do śmierci, czerpiąc dochody głównie z lekcyj gry fortep. i kompozycyj, ukazujących się nakładem paryskich i niemieckich nakładców. Do grona jego przyjaciół należeli: Liszt, Berlicz, Meyerbeer, Ernst, Heine, Balzac i Delacroix, któremu zawdzięczamy jeden z najpiękniejszych portretów Chopina. Decydującą rolę w jego życiu odegrała pani Georg Sand, która pielęgnowała go, gdy z powodu gruźlicy wyjechał na Ma-

jorkę do Valdemasy niedaleko Palmy w r. 1838. Później po koncertach w Londynie i pobycie w Szkocji, dokąd wyjechał na zaproszenie swojej uczennicy panny Stirling, wrócił Chopin do Paryża, gdzie wkrótce dokończył żywota.

Przypisek: Przy opracowywaniu tego szkicu o Chopinie korzystałem z encyklopedji Gutenberga.

Kronika.

I. m. D. H. czyli harcerska drużyna gimnazjalna urządziła ubiegłych wakacyj obóz letni pod namiotami w Piwnicznej nad Popradem. W obozie wzięło udział 20 uczniów, spędzając 3 tygodnie na wolnem powietrzu. Podczas trwania obozu urządzono 3-dniową wycieczkę w Pieniny, którą prowadził opiekun, p. prof. Mykita. Druh opiekun przebywał w obozie stale i dzięki troskliwości, jaką nas otaczał, zyskał sobie serca wszystkich. Obóz zwinięto 8. VIII. Część obozowców, a mianowicie Deimel, Brożek, Mąka M. i Franek wrócili do Bielska pieszo, zdobywając sprawność „leśnego człowieka".

Dnia 30 września ustąpił ze stanowiska drużynowego dh. Brożek Erwin, a funkcję tę objął po nim dh. Słanina Florjan. W dniu tym liczyła drużyna 61, zaś Gromada Zuchów 15 członków. 17. IX złożyły Zuchy pierwszą obietnicę zuchową.

W październiku odbyło się w obecności p. Dyrektora zebranie wójtów wszystkich klas i prezesów organizacyj. Na zebraniu omówiono sprawę „Samorządu szkolnego" i Naszej Gazetki. Zebranie wyłoniło Komitet, który opracowuje obecnie zakres działania, ramowy statut i sposób wyboru „Samorządu gimnazjalnego".

Na walnem zebraniu koła L. O. P. P. w auli przedstawił p. profesor Berner, kurator tego koła, w krótkich słowach tragiczną śmierć ś. p. Żwirki i Wigury, następnie kolega Przeździecki w obszernym referacie przedstawił przebieg i znaczenie zwycięstwa polskiego lotnika na międzynarodowym Challenge'u. Zarząd koła w niezmienionym składzie ma pracować do półrocza.

W październiku zginął tragiczną śmiercią na ślizgowicu Roman Koncki, który niegdyś pracował na terenie naszej drużyny harcerskiej. Cześć jego pamięci!

Dnia 7 XI. b. r. z okazji „Dnia Oszczędności" odbył się w zakładzie poranek, na który złożyły się: występ orkiestry smyczkowej, przemówienie p. prof. Lesieckiego i odczyt kolegi Brożka o znaczeniu oszczędności dla rozwoju dobrobytu.

Dnia 10. XI. b. r., jako w wigilję święta państwowego, poświęcono dwie ostatnie lekcje na poranek o bogatym programie. Występowała orkiestra, chór, soliści, deklamatorzy i przemawiał p. prof. Lubertowicz. 11. XI. cały zakład wziął udział w uroczystym obchodzie państwowym „Święta Niepodległości i Żołnierza Polskiego".

Odpowiedzi Redakcji.

E. D. kl. II c. Wiersze i proza słabe, oczekujemy czegoś lepszego.

S. J. VIII a. — Wiersz „We świat otwiera się serce" to oda do zmysłów; takich haseł Redakcja nie może i nie chce propagować. Nowela słaba. Prosimy o inne prace.

Loranc J., Hajzer J., Rogalski E., Łęgowik, Krzysztoforski, Baselides i Birtus B. Prosimy o dalszą współpracę i pamięć.

S. T. VIII b. Dobre co do formy, lecz poco ten pesymizm? Czyż nie lepiej zawołać za Mickiewiczem: „Młodości, podaj mi skrzydła..."

S. R. VI a. Styl barokowy, zbytnia napuszoność i sztuczna „pompa". Lepiej prosto, a szczerze.

H. S. VI b. — To nie jest poezja, tylko „fabrykacja" rymów i to do tego jakich?: leje, zleje, buja, dwója, stara (w zn. usiłuje), stara (co do czasu). Pomoc dajcie mi Rodacy — bo nie wytrzymam!

„Nowoprzybyły z Kęt". Prosimy o coś w tym duchu napisanego, ale na inny temat. Te „belfry" i dwóje już się wszystkim przejadły.

Redakcja zwraca się z gorącą prośbą do P. T. wszystkich „producentów" płodów literackich o jak najszybsze doręczanie ich, a to celem punktualnego wydania następnego numeru „Naszej Gazetki". Przy tej sposobności zaznacza się, że gabinet „N. G." (II p. nr. 137) otwarty jest codziennie po 5-tej lekcji.

Cena ogłoszeń: Ogłoszenia na całą stronicę 40 zł, na pół stronicy 20 zł, na ćwierć stronicy 10 zł. Cena egzemplarza „Naszej Gazetki" wynosi 25 groszy.

Adres Redakcji i Administracji: Bielsko, Gimnazjum Polskie.

Opiekunowie: Ks. prof. Józef Skudrzyk, p. prof. Marjan Panczakiewicz, p. prof. Ryżewski Stefan.

Redaktorzy: Brożek Erwin, kl. VIII b, Gorączko Roman, kl. VII b, Paluch Szymon, kl. VII b.

Linoleoryty na okładkę i w tekście wykonał Krzysztoforski Edmund, kl. VI a.

Nakład własny. — Drukarnia „Dziedzictwa" w Cieszynie.